

Niewiele na świecie daje takie samo poczucie samorealizacji jak ból kości. On też o tym wiedział, jego stawy o tym wiedziały, jego dzieci będą o tym wiedzieć. I każdego dnia modlił się, żeby tylko bolały go kości. Nieważne, czy ze względu na pogodę, pracę czy zmartwienia - po prostu pragnął, by coś odwracało jego uwagę od codzienności i przypominało o ogólnym kontekście. Było z czego być dumnym - od lat pracował solidnie, dawał coś światu. Nikt się nigdy do niego o nic nie przyczepił.

Trudno rzeźbi się w twardym kamieniu tylko osobom niewprawionym. To nigdy nie sprawiało mu problemów. Kiedy tylko rzeźbić zaczął, miał rzeźbić już do końca życia, a przynajmniej do dziś. Już prawie trzydzieści lat zarabia na chleb, męcząc kamienie dłutkiem. Żaden z niego artysta, prędzej rzemieślnik. On nie będzie nad tym głazem tańczył, śpiewał, dmuchał dymem. To ma być solidna biznesowa współpraca dwóch ekspertów w fachu. Jak chirurg i pacjent - obydwu zależy na sukcesie.

W tym wszystkim nie może zabraknąć kawy. Mocno palonej, niemodnej, gorzkiej. Nie kwaśnej, absolutnie nie kwaśnej. Skale gorzkości i intensywności są zawsze zmanipulowane przez producentów. Widział ktoś kiedyś kawę średnią? Nie. One zawsze są dla jednych albo dla drugich. I on dumnie zajmował jedną ze stron. Wcale nie czuł wstydu, że pije kawę. Dwie filiżanki to nie jest dużo. Nigdy nie palił, nawet kiedy wszyscy palili. To nie było fachowe. Kawa jest cicha, dyskretna, spokojna. Muzyka nie jest.

Narzędzia zawsze muszą być ostre. O tym wszyscy pamiętają. Ręce rozciągnięte. O tym nikt nie pamięta. Naprawdę, rzemiosło wymaga wytrwałości i przygotowania. Rzemiosło to nie są jakieś spazmy radości i natchnienia, tylko solidna, uczciwa robota. Kamień to zawsze rozumiał. Cierpliwy, specjalnie przygotowany, wytrwały. Być może od milionów lat czekał, by stać się popiersiem jakiegoś bankiera. Kto wie? No właśnie, nikt nie wie. Trudno, on tu nie był od poezji, tylko od rzeźbienia. No to rzeźbił.

Przy granicy niemieckiej nie ma wielkich miast. To znaczy nie na południu, na północy jest Szczecin. Tutaj w sumie niczego nie ma, ewentualnie jakieś lasy, rzeki i ptaki. I tyle. I domy. W takim właśnie domu mieszkał on. Dużym, z oknami. Od lat nadzorował jego budowę, szukał rozwiązań. Teraz w nim siedzi, jak smok na podbitym zamku. Sam się do tego doczołgał. Niczyjej pomocy nie potrzebował. Ojciec własnego losu. Uczciwy. Był czwartek, następnego dnia piątek. Drugi piątek tego miesiąca.

Był gotowy. Tak, miał na sobie rękawice i maseczkę. Zawsze zaczynał, oczywiście, od narzędzi elektrycznych. Ta maseczka spełniała bardzo ważną rolę. Nie chciał naturalnie mieć pylicy, ale nie tylko o to chodziło. Nie może być tak, że bawi się z rzeźbą w jakieś nieme konwersacje. Ona nie może widzieć jego grymasów, rozczarowań, wzdychań. To by było nieprofesjonalne. Fachowcy po prostu spełniają zadania, a nie bawią się w jakieś pogaduszki. Dobremu fryzjerowi lustra są zbędne.

Obok domu miał ogródek, który pielęgnował. Jakoś tak nie podobała mu się idea pustego terenu, który posiada na własność. Coś się dziać musiało - działały się trzy dęby, którym dał imiona po synach. I bluszcz się dział - dział się na niewielkiej altance, gdzie latały sobie komary. Piął się w górę, prosperował. Był też żywopłot z bukszpanu. Trzeba go było przycinać. Gdy zdał sobie sprawę, ile czasu zajmuje latanie z sekatorami dookoła tych krzaczków, obsadził nimi całą działkę dookoła. Następnego dnia miał być piątek, już drugi w tym miesiącu. Do szesnastej została niecała doba.

Zawsze musiał zaczynać bardzo spokojnie. To właśnie na początku można było popsuć najwięcej. Wtedy bowiem ma się tylko ogólny zamysł, trochę na oślep wycina się duże bryły, licząc na to, że coś z tego wyjdzie. Ze z grubsza ociosanym kamieniem pracuje się łatwiej, są punkty odniesienia, przypomina choć trochę szkice. Ale nie taki marmurowy sześcian. On przypominał co najwyżej swoich poprzedników, z których zostały jakieś niezgrabne resztki. A z resztek krasnale ogrodowe. Dziesiątki byle jakich krasnali. Tym razem jednak się udało. Za pierwszym razem. Od lat się udawało za pierwszym razem. Czego się spodziewać? Całymi latami obrabiał kamień, znał go jak własną kieszeń, zostały przecież tylko ostatnie detale. Zresztą to, co ktoś nazwałby drobnostką, zbędną drobiazgowością, byłoby w istocie co najmniej poważnym niedopatrzeniem. A na to sobie nie pozwalał. Tylko rzeźbiarz dostrzega w prawie gotowej pracy początkowe uderzenia. Ale mimo wszystko była ta satysfakcja. Nadal wpadał w zachwyt nad efektami tego pierwszego dotknięcia. Łyk kawy, oddech.

Ziemi kupił całkiem sporo. Zawsze chciał kupić sporo ziemi, wychowywał się w mieście, gdzie nigdy nie miał więcej niż czterdziestu metrów. Kupił więc największą działkę w okolicy. Ptaszki, drzewka, rzeczka, spokój. To wszystko miało cel. Sanktuarium. Niejednokrotnie dopytywał innych, czy odwiedzą go, kiedy będzie gotowe. Jasne, świetny pomysł, wpadnę. O szesnastej przyjadą. Dwa tygodnie prawie czekał. Nie miał pojęcia, jak dziś zaśnie.

Nie mógł sobie pozwalać na dłuższe przerwy. To wszystko musiało iść dalej, był rzemieślnikiem, rzemieślnik wykonuje pracę i dostaje pieniądze. Niezbyt skomplikowane, prawda? Pierwszy ślad tego dnia był bardzo udany. I kilkanaście następnych również. Teraz przyszedł czas na pozbycie się pyłu. Niewielkim odkurzaczem albo miotłąką. Dziś miotłąką. Pył przeszkadza w dobrej pracy, odbiera precyzję. Zmiał więc tym częściej, im więcej detali chciał wydobyć z dzieła. Ale nie żywił do niego nienawiści, w gruncie rzeczy te małe cząsteczki były kluczowe w jego rzemiośle. Taki sterylny taniec, idealna czystość byłyby odpowiednie dla chirurgów, poetów, ale nie dla rzeźbiarza. On musiał czuć realność swojej pracy, jej ścisłe połączenie z rzeczywistością. To właśnie ta sztuka wymaga oddania prawdy w jak najwierniejszy sposób. Abstrakcji jak najmniej. Rzeźbiarz jak lustro.

Miał sąsiadów. Nie bezpośrednio obok domu, bo działkę kupił ze sporym marginesem, ale miał. Czasem się odwiedzali, czasem rozmawiali. I w sumie bardzo lubił takie niezobowiązujące spotkania przy kawie, piwie, ale nigdy nic z nich nie

wychodziło. Nie miał żony, a sąsiedzi mieli. Przynajmniej mógł z nimi porozmawiać. Więc niewiele zyskiwał na dłuższą metę. Ale było do kogo gębę otworzyć. Kiedyś miał żonę, potem przestał mieć. Zostali synowie. Jutro o szesnastej go odwiedzą. Dom miał trzy sypialnie. Jedna jego, dwie ich. Jutro o szesnastej.

Schował miotełkę. Po raz kolejny objął dzieło taksującym spojrzeniem. Bardzo ważne było dla niego, by rozumiał miejsce rzeźby we wszechświecie, tej drobinki pyłu umieszczonej na właściwym miejscu przez fotograficzną pamięć twórcy. Najbardziej lubił właśnie ten etap. Teraz miał ucieleśnić coś, co stracił świat. Ten moment, tą bezpowrotną chwilę, którą odtwarzał. Kamień stawał się idealnym fragmentem sekundy, chwilą lustra. Dużym dłutem i kilkoma narzędziami nadawał dziełu ogólne kształty. Fragmenty skały spadające na ziemię stopniowo stawały się coraz mniejsze. Dziś upadały właściwie najmniejsze, niewidoczne dla niewprawionego oka. Ujęcie, które zapamiętała jego głowa, wyłania się spod palców. Tej nocy wyda na świat coś, co odeszło w odmętę przeszłości.

Tu naprawdę była świetna pogoda. Nie było na tyle mokro, by nie dało się oddychać ani też na tyle sucho, by czuć się zmiętym przez rzeczywistość. Najbardziej pomagały właśnie lasy. Padało regularnie, ale nigdy nieprzewidywalnie. Burze brzmiały przepięknie. Pomruki, stukanie kropel, szum drzew. Nic poza tym, muzyka samotni. Ale już niedługo, jeszcze dwadzieścia godzin. Naprawdę, da radę. Przystanie padać, na pewno. Odwiedzą go. Od dziesięciu lat czeka co dwa tygodnie. Wytrzyma jeszcze dwadzieścia godzin.

Odsunął się, by spojrzeć na swoje dzieło. Piąta symfonia Beethovena. To jest właśnie ten moment, w którym może sobie pozwolić na muzykę. Od aktu stworzenia przechodzi do detali. Narodziny jego świata się skończyły, teraz pora na całą resztę. Tak długo pracował z tym kamieniem, ale to wszystko było zaledwie ustawianiem aktora, pisaniem scenariusza. Przyszedł czas na spektakl. Zaczyna od zarysowania tych drobnych, mrówczych wręcz elementów. To jeszcze nie czas na najmniejsze włókna. Rzeźbi, co prawda, już nie ogólne kształty czegoś, co laik nazwałby detalami, lecz dłuto uderza jakby z minimalną, niezauważalną wręcz wadą wzroku. Bez trudu przeczytałoby litery z dolnego rzędu tablicy u okulisty, dentysta przeoczyłoby tak małe ubytki, nauczyciel już dawno zapisałby sto procent, lecz nie takiej precyzji od siebie wymagał. W tym momencie dzieło z daleka wydawało się nienaganne, bezbłędne. Ale to jeszcze nie przepiękna muzyka dynamiki, najmniejszych cząsteczek, które ożywiają przeszłość. To jeszcze nie abstrakcja wspomnień.

Miał wszystko - samochody, działki, motocykle, telewizory, telefony, garnitury, nawet obrazy. Kobiety też miał. No, już nie ma. W alkoholizm nigdy nie wpadł, przynajmniej we własnej ocenie. Był na to zbyt spokojnym człowiekiem. Teraz ma co najwyżej ten spokój i pieniądze. I bardzo, bardzo dużo czasu. Nie miał problemów z prawem, z niczym nie miał problemów. W sądzie był zaledwie kilka razy i to wyłącznie z konieczności. Płacił na nich, nigdy się nie spóźniał. I modlił się, ale tylko czasami. Na przykład dziś - modlił się o to, żeby przyjechali. Są prawie dorośli,

niedługo skończy się nawet to. A już nic nie zostało. I w całej jego historii była niewielka przepaść, czarna plama, brakowało wspomnień. Żył przecież, wypełniał rolę. Ale coś pominął.

Swoje dzieła kończył dosyć niepopularną praktyką. Przed dodaniem żywych, ruchomych elementów całą bryłę zwilżał mokrą ścierką. Kamień wysychał, ale pozostawała jakby gładkość, miękkość, która konieczna była do pełnego oddania detali. I właśnie wtedy najmniejsze narzędzia, drobne dłuta, miniaturowe młoteczki, a nawet paznokcie czy wykałaczki mogły tworzyć magię. Ocierało się to o sztukę, wręcz religię, ale w gruncie rzeczy było wytrenowaną kalkulacją. Dodawał najmniejsze włoski, nawet drobinki kurzu. Niczego nie pomijał. Każda z jego prac była historią wydarzeń, które uczyniły obiekt rzeźbiony takim, jaki był w momencie uchwycenia przez pamięć. Nie inaczej było teraz. Zielona trawa, błękitne niebo, ciemna, czarna wręcz ziemia, nasączona łzami i krwią - to wszystko oddawał jasnoszary marmur. Teraz właśnie swą delikatną, prawie nieobecną wilgotnością zapraszał do pracy, do zakończenia czegoś pięknego, kontynuowania pielęgnowanego od lat z namaszczeniem rzemiosła.

Tego bał się właśnie najbardziej. Tego przerażającego, paralizującego dźwięku dzwonka. Powiadomienie? Obrzydliwy eufemizm. Wysłannik śmierci, gwóźdź do trumny, kołek osinowy, który ma zadbać, by już nigdy nie podniósł się z tego okropnego stanu. To właśnie ta wiadomość, nie żadna inna. Echo niosło się z tryumfem, pogłosem świata ogłaszającego właśnie swoją wyższość nad nim. Wiedział, co odczyta, gdy włączy ekran. I cholernie bał się to zrobić. Może jednak? Może to tylko mail od klienta?

Ręka nie zadrżała. Nie po to od lat trenował się, by teraz pod wpływem emocji zepsuć ważny projekt. Uwzględnił wszystko, widać było, jak się odżywiał, gdzie mieszkał. Można było nawet odczytać, skąd pochodził jego pierwszy jeździec, jakie wino pijał chłopak opiekujący się stajnią. Odsunął się od rzeźby. Olbrzymi, kilkumetrowy, rozpędzony koń. Skończył. Stworzył coś wielkiego i monumentalnego. Prawdziwy fachowiec. I właściwie przeszło mu przez myśl, by jednak sprawdzić, podejść po telefon. Nie. Zaczął czyścić narzędzia.